

została przed hotelem dla zabrania tlómków, a do remizy wsiedliśmy ja, Jaksa i na proździe *maitre d'hotel*.

Kiedy konie ruszyły, doznałem takiego uczucia, jakiego doznawać musi człowiek, którego na plac egzekucji wiozą. Przechodziło mnie nawskróś jakieś nie miłe lechtanie.

Wysiedliśmy przed merostwem ogręgu Pól Elizejskich, noszącego, jeżeli się nie mylę, numer ósmy. W tej samej chwili zajęchało trzy pojazdy, z których w każdym siedziało po dwie osoby. Pomiedzy temi osobami, tylko pan Cochon, pani Cochon i panna Filipina były mi znane. Inne zaś dwie panie i jeden jegomość w wieku średnim — pierwszy raz w życiu widziałem. Uderzyły mnie ich stroje i ich miny: pierwsze wcale nie świeże, drugie bynajmniej ufności nie wzbudzające.

Panna Filipina miała na sobie białą suknię i zielony na głowie wianuszek.

\* \* \*



Weszliśmy do merostwa całym towarzyszstwem.

W obszernym przedpokoju stało i siedziało kilku żandarmów. Po przejściu tego przedpokoju, weszliśmy do izby, w której, za długim stołem ujrzałem człowieka poważnego i siwym już okrytego włosem. Kilku urzędników zajmowało miejsca za pomniejszych stolami.

Kiedysmy przed siwym stanęli człowiekiem, ten podniósł się — spostrzegłem że był przepasany szarfą — lekko się nam skłonił, następnie usiadł i, odbierając kontrakt szlubny z rąk pana Cochon, począł go szybko oczami przebiegać. Czytając, podniósł na mnie nagle wzrok, popatrzył mi pilnie w oczy i zapytał:

— *Jeune homme*, czy znasz treść kontraktu?

— Nie czytałem go... — odparłem.

— Pan mer nie pyta pana, czyś czytał, ale czy treść znasz... — wsunął pan Cochon — a treść przecie doskonale jest panu znana...

Była to nieprawda, bom wyobrażenia o niej nie miał. To mnie uderzyło.

Mer, nie na moją odpowiedź nie odrzekłszy, przebiegał papier oczami do końca. Skończywszy, wręczył mi kontrak i powiedział tonem, w którym brzmiała życzliwość.

— Radzę panu, odczytać to i dobrze się zastanowić...

Ukazał mi stołek w głębi postawiony. Usiadłem i w czytaniu się zagłębiłem.

Był to akt notarialny, który podobno niewłaściwie do rąk mera się dostał.

Bardzo żałuję, że nie posiadam kopji tego dokumentu, który, ni mniej ni więcej, tylko wyzuwał matkę moją z jej praw dożywocia, a na jej miejsce wprowadzał jakieś osoby nieznanego mi nazwiska, wymienione w tym dokumencie, jako rodzice panny Filipiny. Posag gotówką wynosił dwanaście tysięcy franków; reszta zaś, w ilości nie stu, a dwiestu tysięcy, była prostym przyznaniem się do długu względem mojej żony, zahipotekowanego na Kopystynicach. Od tej sumy płacić miałem procent po sześć od sta, w połowie mojej żonie a w drugiej połowie jej rodzicom, którymi nie byli państwo Cochon.

Co by to miało znaczyć, nie mogłem się zrazu połapać.

Same warunki kontraktu nie tyle mnie dziwiły, ile doskonała moich domowych stosunków znajomość, którą w Paryżu posiadał sam tylko Jaksa. Żeby warunkom tym zadość uczynić, potrzeba było na matce mojej wymódz zrzeczenie się dożywocia. Nie cała jednakże rzecz opierała się na tem wymożeniu, które jeżeli sobie początek opowiadania przypominać, było dla mnie bardzo łatwym. Było bowiem zastrzeżenie, że, jeżeliby matki nie zdołał wyzuć na rzecz jakichś państwa o podejranych minach, w takim razie procenta miały się kapitalizować i, jako proste długi względem rodziców mojej małżonki, obarczać hipotekę Kopystyniec, aż do śmierci mojej matki, śmierci naznaczonej jako termin ryczałtowego owych długów spłaty.

Słowem, treść tego kontraktu zmieniała mnie, na całe życie, w niewolnika, w ekonomę żony mojej i jej rodziców.

Uśluhałem rady mera. Z wielką uwagą odczytałem cały kontrakt. Pomyślałem. Poznałem: że jestem ofiarą zмовy, ułożonej przez Jakse, Cochona i jakieś nieznanne mi figury; że panna Filipina została mi podstawioną jako wędka; że dałem się wystrychnąć na dudka przez oszustów. Przyszedszy do tego przeświadczenia, położyłem kontrakt na stole, wzięłem kapelusz do ręki i głośno a dobitnie powiedziałem:

— Ja tego nie podpiszę...

Skłoniłem się i ku drzwiom się zwróciłem. We drzwiach spotkałem się z *maitre d'hotel*, trzymającym w rękę mój weksel. Zrozumiałem, co to znaczy, i zatrzymałem się. W tej chwili dopędził mnie Jaksa, za ramię pochwycił, obrócił, do stołu podprowadził i, ukazując na kontrakt palcem, rozkazującym tonem rzekł:

— Podpisz!..

— *Pas de violence!*... — dość groźnie odezwał się mer.

Panna Filipina blada była i zmieszana — biedna dziewczyna, co ona winna! Pani Cochon wzrok gniewem strzelał. Pan Cochon próbował, mnie reflektować:

— Skompromitowałaś pan pannę... Zastanów się... To nie uchodzi... Możemy z sobą pomówić... Można będzie coś spuścić, warunki złagodzić... Dają panu gotówką tysięcy dwanaście, dadzą dwadzieścia... Oto czeka na pana *maitre d'hotel*, a tam za nim żandarmi... Zastanów się... Pójdiesz do więzienia.

Nie byłem w stanie na odpowiedź się zdobyć. Ten człowiek, którego przed chwilą tak szanowałem, stał się dla mnie z powodu że matkę moją chciał skrzywdzić, najobrzydliwszym pomiędzy obrzydliwymi. Odwróciłem się od niego, poszedłem wprost do *maitre d'hôtel* i powiedziałem mu:

— Jestem pańskim dłużnikiem... Zapłacić nie mogę... Oddaję się na pańskie rozporządzenie...

— Bardzo mi to przykro... — była jego odpowiedź. — Postąpię z panem według prawa i to tylko na pocieszenie pańskie dodam, że prawo nie z samym panem będzie miało do czynienia... Ta sprawa pójdzie dalej...



Przed udaniem się do kozy, widziałem całe weselne towarzystwo przez żandarmów otoczone i dokądś poprowadzone. W przechodzie pani Cochon utraktowała mnie wyrazem „*coquin*,” a Jaksa cisnął mi wyraz „*dureń*.” Panna Filipina płakała.

Następnie siedziałem w Clichy i z Clichy stawałem przed sądem jako świadek w procesie o oszustwo, wytoczonym towarzystwu, złożonemu z siedmiu osob, w liczbie których figurował i mój przyjaciel i mentor.

O! dużo też miałem kłopotów, utrapień i zmartwienia, zanim zdołałem przy pomocy grosiwa przez poczciwą matkę przyslanego, na wolność się wydobyć i do Kopystyniec powrócić. A wiecie, dla czego opowiedziałem wam ten ustęp z mego życia? — oto, dla tego, ażebyście synów waszych kochali inaczej, aniżeli moi rodzice mnie; ażebyście starali się dawać im wychowanie poważne, gruntujące dobre zasady i wytykające życiu piękny cel; ażebyście wpajali w nich pojęcia o obowiązkach obywatelskich, pojęcia nadające majątkom przeznaczenie inne, aniżeli używanie i nadużywanie.

Iluz to mój Boże młodych ludzi, z pod troskliwej opieki głupich rodziców w świat puszczonych, marnie puściło majątki, przelewając je do kieszeń takich Jaksów i takich Cochonów!... Gdyby te wszystkie, roztrwonione po wszystkich zakątkach Europy fundusze, można było odebrać i w jedno zlać... o!... podjąłbym się za nie Polskę z potrójnej niewoli wykupić... Ja jeszcze — strwoniłem nie wiele, bo stosunkowo nie wiele miałem do strwonienia. Ale, inni... Miljony, miljardy polskiego grosza — polskiego! rozumiecie? — poszły na opłacenie uszustów i podtrzymywanie rozpusty w mieście, podczas kiedy w Polsce nie ma grosza na szkoły, szkółki, na biblioteki, na ojczyzną literaturę, na podnoszenie krajowego dobrobytu, na gojenie narodowych ran, na kapitalizowanie środków potrzebnych do odzyskania bytu.

Zasady i pojęcia — oto, co rodzice powinni w synów wpajać. Wiercie mi, człowiek z zasadami i pojęciami jest, jak koń ostro podkuty. Można go puszczać choćby na lód — nie upadnie.

Staś jeszcze gadał i gadał; ale, że wpadł na tor moralizacyjny, więc... nie ma co tego powtarzać.

## SEDAN A METZ.

(z osobnej całości).



zwolna stapasz pobożnik błoniem  
Nemzo dziejów! lecz jakżeś straszliwa!  
W zdradzie, podłości, hańbie! czyż zatoniem?!  
Czy dusza wieku jeszcze w ludach żywa



Czyż lampą grobów gaśnie nieszczęśliwa?  
Kara za Polskę!

Tylekroć zdradzoną!  
We krwi, boleści, podle poniżoną!  
Pod krzyżem samą — na krzyżu w sromocie,  
I moralizowaną — na Golgocie!!!  
W dniach kiedy tyran — gonjusz który w ludy  
Nie wierzył — światem zatrząsł! za krew, trudy  
Judaszowemi całowaną usy  
I pogańskimi gorszoną rozpusty!  
Kara za Polskę!

O patrzcie narody!  
Kara na Francji dzisiaj się poczyna!  
Co najmniej winna! uderza godzina  
I krwawy pasterz gna ryczące trzody!...  
A jednak — — my co znamy taką chwilę  
Francjo! za tobą na własnej mogile  
Łzę jeszcze znajdź! co żalobą prosi  
Co ziemię świętą napawa i rosi!...  
Wznies się o Francjo! tyś nie tak miserna  
Jako się zdajesz, piekłem oszukana,  
Złotem, miękkością okuta szatana!...  
O tyś nam „miłą“ choć nie „miłosierną!“

Gdyby dziś Polska stała — naród cały  
Byłby Sobieskim! na polach twej chwały!...  
Lecz tobie z gromkim mieczem i kotwicą  
Być Orłańską narodów dziewicą!...  
Wstań Francjo wstań! jak jeden lew!...  
Bij Francjo bij! jak jeden grom!  
Płoń Francjo płoń!... by blask twych łón  
W dziejach odwiecznych świadczył za krew!...  
A zagrzebany w niewoli dom  
Runie ciemnięca w dziejowy wiew!  
W narodu — gniew  
Wstań Francjo wstań! jak słońca ptak!  
Tam! nad Alpami!... twej chwały znak!  
Hej! od Piramid sygnały weź!...  
A z inwalidów orłem się wznies!...

Wstań Francjo wstań!  
W krwi morze męztwa twego rzuć kotwicę!  
Tyrańca zrań!  
W samą żrenicę!...  
I piorun wskrzes!...  
Wstań Francjo wstań!  
I dźwignij krzyż!  
Tego co zniżył  
Ciebie — ty zniżył!  
By dzień się zbliżył  
Gdzie ryknie spiż  
Zdychając u stóp ducha ludzkozi  
Zabity światłem w państwie ciemności!

Na wieczny pomnik ludów czujności  
Wstań Francjo wstań!!!

ERNEST BUŁAWA.

## WYCIECZKA W GŁĄB SERBII, 1869.

PRZEZ  
WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

(Dokończenie.)

### II.

DROGA DO MAJDAN-PEKU. — MAJDAN-PEK.



W Rajkowej drodze zaczyna znowu piąć się pod górę, mniej wprawdzie stromą i wysoką od tej, którąśmy przebyli pod Milanowcem, zawsze przecież o tyle wysoką, że konie muszą się znużyć a ludzie znużyć, nim się dostaną na jej wierzchołek.

Gdyśmy się wygramolili nareszcie na wierzch góry i przystanęli, ażeby dać chwilę wytchnienia zmęczonym koniom, furman mój, który tylko

w stanowczych momentach podróży zabierał głos z własnej inicjatywy, oświadcza mi, że za godzin dwie będziemy w Majdan-Peku.

Wiadomość ta ucieszyła mię niezmiernie. Nie dość bowiem, że siedm godzin spędzonych w drodze dość uciążliwej i na wózku, gdzie beczka z winem przypominała mi się w sposób wcale niedelikatny każdym razem, jak tylko spuszczałyśmy się z góry, zmęczyły mię fizycznie, ale nadto o tyleż, jeżeli nie więcej, czułem się jeszcze i moralnie znużonym. Gdyż jeżeli droga na początku swoim, rozciągając bogatą panoramę najwspanialszych i pełnych różnaitości widoków, żywo zajmowała wzrok i wyobraźnię, i nie pozwalała zwracać uwagi na niedogodności podróży, to w dalszym swym ciągu, następując oku jedne i te same linje pofalowanej powierzchni pustej, bezładnej, swoją monotonością i martwością weiskającej się do dna duszy, nie tylko, że rozbroiła me grzeszne ciało z jedynej potęgi, mogącej równoważyć dotykalne przykrości potęgi, jaką jest energia myśli i zesrodkowanie się ducha, ale jeszcze w dodatku napoiła mię czczością i niesmakiem, jakich się zwykle doświadcza, dostawszy się w ręce śmiertelnej nudoty. Co bowiem może być bardziej nudnego i męczącego dla oka i wyobraźni nad jednostajność i jednocześnie, co może być bardziej smutnego i wstrętnego dla duszy nad pustynność, wśród której napróżno szukać śladów ludzkiej egzystencji?! Człowiek stworzony do życia towarzyskiego, samotności tylko w wyjątkowych wypadkach może potrzebować, a w ogóle boi się jej i czuje wstręt od niej gorszy, niż od samej śmierci. A właśnie w całym ciągu swej podróży, pomimo obecności furmana, czułem się jak najzupełniej osamotnionym. Z obecności bowiem człowieka, z którym dwóch słów uczciwie zamienić nie można niewielką pociechą?! A tak mianowicie rzecz się miała z moim szanownym *koczyjaszą*, który większą okazywał skłonność do rozmawiania z końmi, jak ze mną — człowiekiem. Na wszystkie me zapytania, mające na celu wciągnięcie go do rozmowy, odpowiadał monosylabowo: *jest* (tak), *nije* (nie), albo po prostu *ne znam* (nie wiem), — jak gdyby kierował się tem rozumowaniem, dość zresztą słusznym ze stanowiska ekonomji politycznej, że płacę mu za to tylko, aby mię dowiózł do wskazanego mu miejsca, a bynajmniej nie płacę mu za to, by się miał fatygować dla mnie wydobywaniem z płuc powietrza, a oraz otwieraniem i zamykaniem miarowem ust dla wydania głosu, co wszystko, będąc mechaniczną pracą, osobnego wymaga wynagrodzenia. Nie mówię tu o ewentualnie mogącej się nastąpić innej jeszcze pracy powyższej operacji — pracy myśli; ta bowiem uznana została w dziewiętnastym stuleciu ery Chrystusowej za rzecz zbytku, bez której człowiek doskonale umie się obchodzić. Ja zaś nie miałem powodu podejrzawać mego szanownego być może pod wszystkimi innymi względami rumuna o rzecz tak zbyteczną, jaką jest myślenie.

Ujechawszy dość spory kawał drogi, po prawej stronie, tuż przy samej drodze, spostrzegam krzyż stojący, świeżej, jak ze wszystkiego można było wnosić, daty. Krzyż w tak odludnem miejscu i w Serbji, gdzie nie ma zwyczaju stawiania krzyżów przy drogach, nie mógł nie zwrócić na siebie mej uwagi. Zapytuję więc furmana, co by krzyż ten miał znaczyć w tem miejscu.

Z udzielonej mi w lapidarnym stylu odpowiedzi dowiedziałem się, tym że pod krzyżem pochowanym został aresztant, zabity przez eskortującego żandarma, na którego był się rzucił w zamiarze rozbrojenia go i ułatwienia sobie ucieczki. Co to był za aresztant? dowiedziałem się później dopiero. Był nim *Vuić*, syn sławnego z czasów Milosza *Vuicia*. Za udział w spisku przeciwko zamordowanemu księciu, skazany na dwa lata do ciężkich robót, odsiadywał swą karę w *Pozarewcu*. W końcu przeszłego roku nakazano go przewieźć, nie wiadomo dla czego, do *Negotyna*, a jak inni mówią, do *Milanowca*. Z tej okoliczności jak powiadają jedni, *Vuić* chciał skorzystać by uciec, a jak powiadają drudzy, kto inny chciał skorzystać by się go pozbyć — i został zabity... Prawdy o całym tym wypadku

bardzo trudno dowiedzieć się, pomnąc na to, że stronnicze namiętności, rozdzierające naród serbski na wrogie sobie partje, nie pozwalają nie tylko bezstronnie sądzić o rzeczach, ale nawet uszanować prawdy o tyle, by jej nie wywracać na nie tendencyjnie.

Ze smutkiem wyznać potrzeba, że jak się rzecz ma z owym wypadkiem, tak samo ma się rzecz i z całą nowożytną historją Serbji. W opowiadaniach o wypadkach z ostatniego pięćdziesięciolecia, namiętności stronnicze tak ważną grają rolę, że wśród zamętu krzyżujących się z sobą oskarżeń i pochwał zwróconych ku jednym i tym samym osobistościom, wśród sprzecznych, lub tylko różniących się w szczegółach opowiadań o ważniejszych wypadkach, niezmiernie trudno dojść do prawdy i do wyrobienia zdrowego sądu o rzeczach i ludziach. Jakoż, każdemu, kto by pragnął poznać dzieje odbudowania Serbji, radziłbym nie zapominać ani na jedną chwilę o tej okoliczności i do pracy przystępować z całą ostrożnością. Ostrożność ta tem jest potrzebniejszą, że nawet dzieła przez cudzoziemców pisane, nie są wolne od stronniczego przedstawienia rzeczy, za wyjątkiem chyba jednego *Ranke'go*, którego historia rewolucji Serbskiej, — nie bez korzyści będzie o tem wiedzieć — jest wzbroniona w Serbji. I tak, kiedy *Cyprjan Robert*, który zwiedzał Serbję za Karadziorzewicia po wypędzeniu Milosza, przedstawia nam tego ostatniego, jako tyrańca bez czci i sumienia, lekceważącego sobie życie, honor i mienie swych poddanych, to znowu *Cunibert*, będący lekarzem Milosza, pisze w swej historii panegiryk usiłujący usprawiedliwić Milosza z nadużyć, których nawet wytłumaczyć nie można. Kończąc tę uwagę, dodam, że w Serbji dwie są główne partje: Obrenowiciów i Karadziorzewiciów, a dopiero ostatnimi czasy wytworzyła się i wyrabia się powoli nowa partja — Omladyna — grupująca się nie pod godłem tej lub owej rodziny, czy osoby, ale pod sztandarem pewnej idei, w imię programu, który jej dyktuje dobrze lub źle zrozumiane interesy kraju.

Sądę, że nie będzie zbytecznem ani też bez pewnego dla czytelników moich interesu, krótkie zastanowienie się nad pytaniem, co spowodowało wytworzenie się dwóch tych dyamentalnie przeciwnych sobie partji, kiedy wiadomo, że Milosz miał zawsze tyle zaufania i miłości wśród narodu? Jakie są istotne przyczyny tych chronicznych rewolucji, które co lat kilka powtarzają się w Serbji, i z których ostatnia splamiła się zbrodnią — zamordowaniem ulubionego przez naród księcia?

Powszechna w Serbji ustaliła się opinja, że główna przyczyna wszystkich zamieszek i przewrotów spoczywa w ambicji możnowładztwa urzędniczego, że są jeszcze zdania, które winę rewolucji zwalają w ogóle na biurokrację miejscową, usiłującą jakoby macić wodę, by w niej łatwiej było ryby łowić. Mojem zdaniem, jak jedna tak i druga opinja polega na pozorach i obie zdradzają powierzchowność sądu.

Że udział możnowładztwa, jeżeli godzi się tak nazwać wyższych urzędników państwa, grał wielką rolę we wszystkich zakłóceniach kraju, że biurokracja w ogóle w nich była najczynniejszą — zaprzeczyć tego nie można; działo się to przecież z konieczności, ile że jedna tylko biurokracja stanowi inteligencję kraju, a więc część ludności, najruchliwszą. Z tem wszystkiem na karb możnowładztwa, którego w Serbji nie masz, na karb biurokracji, która w Serbji nie miała jeszcze czasu sformować się w potworną kastę, kierującą się antycywilizacyjnym *esprit de corps*, zwałać winy wszystkich rewolucji nie godzi się. Biurokracja tutejsza, mimo wszystkich właściwych tej klasie wad, nie zerwała jeszcze łączących ją z narodem węzłów, i pomimo zaprowadzonych przez Milosza na wzór moskiewski czynów, nie wyosobnia się całkiem w towarzyskich stosunkach od *torgowców* i *selaków* (wieśniaków). Z tymi ostatnimi łączy się ona w poczuciu potrzeb i interesów kraju w jeden społeczno-narodowy organizm.